

TESS GERRITSEN

Kształt nocy



ALBATROS

Prolog

Wciąż jeszcze śni mi się Strażnica Brodiego i jest to zawsze ten sam koszmarne sen. Stoję na zwirowanym podejździe, a dom majaczy przede mną jak dryfujący we mgle statek widmo. Mgiełka snuje się i pełza wokół moich stóp, oblepiając mi skórę lodowatym szronem. Słyszę fale nadciągające od morza i uderzające o skały, a nad głową krzyki mew, które ostrzegają mnie, bym trzymała się z dala od tego miejsca. Wiem, że za tymi frontowymi drzwiami czai się Śmierć, ale nie cofam się, bo ten dom mnie wzywa. Być może już zawsze będzie mnie wzywał, sprawiając swym syrenim śpiewem, że raz jeszcze wejdę po schodkach na ganek, gdzie kołysze się skrzypiąca huśtawka.

Otwieram drzwi.

W środku wszystko wygląda nie tak, jak powinno. To nie jest już ten wspaniały dom, w którym kiedyś mieszkałam i który kochałam. Masywną rzeźbioną balustradą zawładnęła winorośl, oplatająca poręcze jak zielone węże. Podłogę pokrywa dywan martwych liści, naniesionych wiatrem przez

rozbite okna. Słyszę powolne bębnienie kropel deszczu, skapujących nieustannie z sufitu, i patrząc w górę, widzę pojedynczy kryształowy sopel zwisający z resztek żyrandola. Na ścianach, pomalowanych kiedyś na kremowo i ozdobionych elegancką sztukaterią, są teraz smugi pleśni. Na długo zanim powstała tutaj Strażnica Brodiego, zanim ludzie, którzy ją zbudowali, sprowadzili drewno i kamienie i przybili do słupów belki stropu, wzgórze, na którym stoi, porastały drzewa i mech. Teraz las upomina się o swoje terytorium. Strażnica Brodiego ustępuje mu pola i w powietrzu czuć zapach rozkładu.

Słyszę gdzieś nade mną brzęczenie much i gdy zaczynam wchodzić po schodach, złowróżbny dźwięk przybiera na sile. Solidne dawniej stopnie, które pokonywałam każdej nocy, uginają się i skrzypią pod moim ciężarem. Poręcz, niegdyś satynowo gładka, jeży się cierniami i pnączami. Kiedy docieram na podest pierwszego piętra, pojawia się mucha; krąży i brzęczy mi nad głową. Gdy ruszam korytarzem w kierunku głównej sypialni, nadlatuje następna i jeszcze jedna. Słyszę przez zamknięte drzwi zachłanne bzyczenie much w pokoju, do którego coś zwabiło je na ucztę.

Otwieram drzwi i brzęczenie staje się ogłuszająco głośnie. Atakują mnie tak gęstą chmurą, że krztuszę się i macham rękami, by je odpędzić, ale wciskają mi się we włosy, do oczu i ust. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, co zwabiło je do tego pokoju. Do tego domu.

Ja. Jestem ich pożywieniem.

Rozdział pierwszy

Nie czułam żadnego lęku tego dnia na początku sierpnia, gdy skręciłam w North Point Way i jechałam po raz pierwszy w kierunku Strażnicy Brodiego. Wiedziałam tylko, że droga wymaga konserwacji, a wyrastające z ziemi korzenie drzew wybrzuszą jej nawierzchnię. Zarządzająca posiadłością kobieta wyjaśniła mi przez telefon, że dom ma ponad sto pięćdziesiąt lat i jest jeszcze w remoncie. Przez kilka pierwszych tygodni będę musiała znosić towarzystwo dwóch cieśli, walących młotami w wieżycze, i właśnie dlatego mogłabym zamieszkać za grosze w domu z tak imponującym widokiem na ocean.

– Kobieta, która go wynajmowała, musiała kilka tygodni temu wyjechać z miasta, wiele miesięcy przed upływem terminu umowy. Zadzwoiła więc pani do mnie w idealnym momencie – powiedziała pośredniczka. – Właściciel nie chce, żeby dom stał pusty przez całe lato, i zależy mu na znalezieniu kogoś, kto o niego zadba. Ma nadzieję, że to będzie kobieta. Uważa, że kobiety są o wiele bardziej odp-

wiedzialne.

Tak się składa, że tą szczęśliwą nową najemczynią jestem ja.

Na tylnym siedzeniu miauczy mój kot Hannibal, domagając się, bym wypuściła go z klatki, w której jest zamknięty, odkąd sześć godzin temu wyjechaliśmy z Bostonu. Spoglądam do tyłu i widzę, jak wpatruje się we mnie zza krat, wielki kocur majkun, z wkurzonymi zielonym ślepiami.

– Już dojeżdżamy – obiecuję, choć zaczynam się martwić, że skręciłam w niewłaściwą drogę. Nawierzchnia jest spękana z powodu korzeni i działania mrozu, a drzewa zdają się wyrastać coraz bliżej pobocza. Moje stare subaru, przeciążone już bagażem i sprzętem kuchennym, ociera się o asfalt, gdy podskakujemy na jezdni, jadąc przez coraz węższy tunel między sosnami i świerkami. Nie ma miejsca, żeby zawrócić. Mogę jedynie jechać dalej tą drogą, dokądkolwiek prowadzi. Hannibal znowu miauczy, tym razem bardziej natarczywie, jakby ostrzegał: „Stań natychmiast, zanim będzie za późno”.

Przez zwisające gałęzie dostrzegam skrawek szarego nieba, a za lasem nagle pojawia się upstrzone porostami rozległe granitowe zbocze. Zużyty znak potwierdza, że dotarłam na podjazd do Strażnicy Brodiego, ale niewybrukowana droga pnie się w tak gęstej mgle, że nie widzę jeszcze domu. Jadę dalej i spod kół subaru sypie się żwir. Przez pasemka mgły dostrzegam poszarpane wiatrem zarośla i granitowe pustkowia. Słyszę krążące w górze mewy, lamentujące jak zgraja duchów.

Nagle tuż przede mną wyłania się dom.

Wyłączam silnik i siedzę przez chwilę, przyglądając się Strażnicy Brodiego. Nic dziwnego, że była niewidoczna z podnóża wzgórza. Szare deski stapiają się idealnie z mgłą i widzę tylko zarys wieżyczki wznoszącej się ku nisko zawieszonym chmurom. Musiała zajść jakaś pomyłka. Powiedziano mi, że to duży dom, ale nie spodziewałam się stojącej na szczycie rezydencji.

Wysiadam z samochodu i wpatruję się w poszarzałe ze starości deski. Na ganku kołysze się skrzypiąca huśtawka, jakby trącana niewidzialną ręką. Niewątpliwie w domu są przeciągi, a system ogrzewania jest przestarzały. Wyobrażam sobie natychmiast przesiąknięte wilgocią pokoje i powietrze cuchnące pleśnią. Nie, nie tak miało wyglądać moje letnie ustronie. Liczyłam na spokojne miejsce, gdzie mogłabym pisać, gdzie mogłabym się ukryć.

Miejsce na leczenie ran.

Tymczasem ten dom przypomina terytorium wroga, jego okna świdrują mnie nieprzyjazylnym spojrzeniem. Mewy krzyczą coraz głośniejsze, ponaglać mnie, bym uciekała, póki jeszcze mogę. Cofam się i zamierzam już wrócić do samochodu, gdy słyszę chrzęst opon na żwirowym podjeździe. Za moim subaru zatrzymuje się srebrny lexus i wysiada z niego blondynka; macha do mnie i zmierza w moim kierunku. Jest mniej więcej w moim wieku, zadbana i atrakcyjna. Wszystko w jej postaci emanuje radosną pewnością siebie, od kostiumu firmy Brooks Brothers po uśmiech mówiący „Jestem twoją najlepszą przyjaciółką!”.

– Pani Ava, prawda? – pyta, wyciągając rękę. – Przepraszam za małe spóźnienie. Mam nadzieję, że nie czekała pani zbyt długo. Jestem Donna Branca, zarządzam tą nieruchomością.

Gdy podajemy sobie ręce, szukam już wymówki, by wycofać się z transakcji. Ten dom jest dla mnie za duży. Zbyt odosobniony. Zbyt upiorny.

– Cudowne miejsce, prawda? – ekscytuje się Donna, wskazując na granitowe pustkowie. – Szkoda, że z powodu pogody nie widać teraz pejzażu, ale jak podniesie się mgła, widok oceanu rzuci panią na kolana.

– Przykro mi, ale ten dom nie jest dokładnie taki...

Donna wchodzi już po schodach na ganek, wymachując kluczami.

– Ma pani szczęście, że akurat teraz pani zadzwoniła. Tuż po naszej rozmowie miałam dwa kolejne zapytania o ten dom. Tego lata Tucker Cove to istny dom wariatów. Wszyscy turyści szukają czegoś do wynajęcia. Wygląda na to, że nikt nie chce w tym roku spędzać wakacji w Europie. Każdy woli być bliżej domu.

– Cieszę się, że są inne osoby zainteresowane tą posiadłością. Bo wydaje mi się, że dla mnie jest za...

– *Voilà!* Nie ma to jak w domu!

Frontowe drzwi otwierają się, ukazując lśniąca dębową podłogę i schody z misternie rzeźbioną poręczą. Wymówki, które miałam na końcu języka, nagle wyparowują i jakaś przemożna siła pcha mnie przez próg. W wejściowym holu wpatruję się w kryształowy żyrandol i wymyślnie otynkowa-

ny sufit. Wyobrażałam sobie, że dom jest zimny i wilgotny, cuchnie kurzem i pleśnią, a tymczasem czuję świeżą farbę i lakier do drewna. I zapach morza.

– Remont jest prawie zakończony – oznajmia Donna.
– Cieśle mają jeszcze trochę pracy w wieżyczce i na tarasie na dachu, ale postarają się pani nie przeszkadzać. Poza tym pracują jedynie w dni powszednie, więc w weekendy będzie pani sama. Właściciel zgodził się obniżyć czynsz na lato, bo wie, że cieśle sprawiają trochę kłopotu, ale będą tu tylko przez parę tygodni. Potem do końca lata będzie pani miała ten bajeczny dom wyłącznie dla siebie. – Zauważa, że przyglądam się z zaciekawieniem sztukaterii pod sufitem. – Nieźle to odrestaurowali, prawda? Ned, nasz cieśla, jest mistrzem rzemiosła. Zna każdy zakątek i każdą szparę w tym domu lepiej niż ktokolwiek. Chodźmy, pokażę pani resztę rezydencji. Ponieważ będzie pani zapewne eksperymentowała z przepisami, domyślałam się, że zechce pani wypróbować tę fantastyczną kuchnię.

– Czy wspominałam o mojej pracy? Nie przypominam sobie, żebym o niej mówiła.

Śmieje się z zażenowaniem.

– Powiedziała pani przez telefon, że pisze o gastronomii, więc nie mogłam oprzeć się pokusie, by poszukać pani w Google’u. Zamówiłam już pani książkę na temat oliwy. Mam nadzieję, że mi ją pani podpisze.

– Z przyjemnością.

– Myślę, że ten dom będzie dla pani idealny do pisania.
– Prowadzi mnie do kuchni, jasnego i przestronnego po-

mieszczenia z posadzką z tworzących geometryczny wzór czarno-białych płytek. – Są tu sześciopalnikowa kuchenka i bardzo duży piekarnik. Niestety, wyposażenie kuchni jest dość podstawowe, tylko parę garnków i patelni, ale wspominała pani, że przywozi własny sprzęt.

– Tak. Mam długą listę przepisów, które muszę wypróbować, i nigdzie się nie ruszam bez moich noży i patelni.

– Co jest tematem pani nowej książki?

– Tradycyjna kuchnia Nowej Anglii. Badam zwyczaje kulinarne ludzi morza.

Donna się śmieje.

– Jadali głównie solone dorsze i niewiele więcej.

– Chodzi też o to, jak żyli. Te długie zimy, mroźne noce i niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni rybacy, gdy wypływali na połowy. Niełatwo było utrzymać się z pracy na morzu.

– Z pewnością. Mamy tego dowód w kolejnym pomieszczeniu.

– Co pani ma na myśli?

– Pokażę pani.

Przechodzimy do kameralnego frontowego salonu, gdzie w kominku, gotowym już do rozniecenia ognia, leżą drewno i podpałka. Nad kominkiem wisi olejny obraz statku, przechylonego na wzburzonym morzu i przecinającego dziobem spienione od wiatru fale.

– To tylko reprodukcja – wyjaśnia Donna. – Oryginał znajduje się w miasteczku, w Towarzystwie Historycznym. Mają tam również portret Jeremiaha Brodiego. Był imponu-

jącą postacią. Wysoki, z kruczoczarnymi włosami.

– Brodie? To dlatego dom nazywany jest Strażnicą Brodiego?

– Tak. Zarobił majątek jako kapitan statku, pływając stąd do Szanghaju. Zbudował ten dom w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku. – Spogląda na obraz statku prującego fale i wzdyga się. – Dostaję choroby morskiej na sam widok tej sceny. Za żadne skarby nie postawiłabym nogi na pokładzie statku. Żeglujecie pani?

– Robiłam to jako dziecko, ale od wielu lat nie pływam.

– Tutejsze wybrzeże jest podobno jednym z najlepszych na świecie miejsc do żeglowania, jeśli to panią interesuje. Mnie z pewnością nie. – Donna podchodzi do podwójnych drzwi i otwiera je na oścież. – A to mój ulubiony pokój w całym domu.

Przestępuję przez próg i widok za oknami natychmiast przykuwa mój wzrok. Widzę snujące się pasma mgły i za ich kurtyną dostrzegam to, co znajduje się dalej: ocean.

– Kiedy wszędzie słońce, ten widok pozbawi panią tchu – mówi Donna. – Teraz nie widać oceanu, ale proszę poczekać do jutra. Mgła powinna do tego czasu zniknąć.

Chcę postać chwilę przy oknie, ale Donna idzie już dalej i ponagliła mnie, bym przeszła do jadalni, wyposażonej w ciężki dębowy stół i osiem krzeseł. Na ścianie wisi jeszcze jeden obraz statku, zdecydowanie mniej zdolnego artysty. Na ramie umieszczona jest nazwa jednostki.

Minotaur.

– To był jego statek – wyjaśnia Donna.

– Kapitana Brodiego?

– To właśnie na pokładzie *Minotaura* poszedł na dno. Ten obraz namalował jego pierwszy oficer i dał mu go w prezencie rok przed tym, jak obaj zaginęli na morzu.

Wpatruję się w *Minotaura* i włosy jeżą mi się nagle na karku, jakby do pokoju wpadł podmuch zimnego wiatru. Odwracam się, by zobaczyć, czy któreś okno nie jest otwarte, ale wszystkie są dokładnie zamknięte. Donna też najwyraźniej czuje chłód, bo obejmuje się ramionami.

– Nie jest to najlepszy obraz, ale pan Sherbrooke twierdzi, że jest częścią tego domu. Ponieważ namalował go sam pierwszy oficer, zakładam, że szczegóły statku są pokazane dokładnie.

– Trochę to niepokojące, że tutaj wisi – mruczę pod nosem. – Skoro wiadomo, że kapitan z tym statkiem zatonął...

– Tak właśnie powiedziała Charlotte.

– Charlotte?

– Kobieta, która wynajmowała ten dom przed panią. Była tak ciekawa jego historii, że zamierzała pomówić o tym z właścicielem. – Donna się odwraca. – Pokażę pani sypialnię.

Podążam za nią po krętych schodach, muskając dłonią wypolerowaną poręcz. Zrobiona jest z wykończonego po mistrzowsku dębowego drewna; wydaje się solidna i trwała. Ten dom zbudowano, by przetrwał wieki i służył wielu pokoleniom, a jednak stoi pusty, czekając, aż zamieszka w nim samotna kobieta ze swoim kotem.

– Czy kapitan Brodie miał dzieci? – pytam.

– Nie, nigdy się nie ożenił. Gdy zginął na morzu, dom zo-

stał przejęty przez jednego z jego bratanków, a potem kilkakrotnie zmieniał właścicieli. Teraz jest nim Arthur Sherbrooke.

– Czemu tu nie mieszka?

– Ma dom w Cape Elizabeth, blisko Portlandu. A ten odziedziczył przed laty po ciotce. Gdy dostał Strażnicę Brodiego, była w kiepskim stanie i pan Sherbrooke wydał już majątek na jej renowację. Ma nadzieję, że ktoś ją kupi i wybawi go z kłopotu. – Donna przerywa i spogląda na mnie.
– Gdyby była pani zainteresowana...

– Nie byłoby mnie stać na utrzymanie takiego domu.

– Hm... pomyślałam, że o tym wspomnę. Ale ma pani rację, utrzymanie takiej zabytkowej rezydencji to koszmar.

Gdy przechodzimy korytarzem na piętrze, wskazuje po drodze dwie skąpo umeblowane sypialnie i staje przy tej, która znajduje się na końcu.

– To była sypialnia kapitana Brodiego – oznajmia.

Wchodzę do środka i znów wdycham intensywny zapach morza. Poczułam go już na dole, ale tutaj jest obezwładniający, jakby spryskiwały mi twarz rozbijające się o skały fale. Nagle zapach znika, jak gdyby ktoś zamknął okno.

– Będzie pani uwielbiała widok z tego miejsca o poranku – zapewnia mnie Donna, wskazując za szybę, choć w tym momencie widać za nią tylko mgłę. – Latem słońce wschodzi nad wodą, więc można podziwiać świt.

Marszczę czoło, widząc gołe okna.

– Nie ma tu zasłon?

– Cóż, prywatność nie stanowi problemu, bo nikt pani

tutaj nie podejrz. Teren posiadłości rozciąga się aż do linii przypływu. – Odwraca się i wskazuje głową na kominek. – Wie pani, jak rozpalać ogień, prawda? Zawsze otwieramy najpierw przewód kominowy.

– Bywałam na farmie mojej babci w New Hampshire, więc mam spore doświadczenie z kominkami.

– Pan Sherbrooke po prostu chce mieć pewność, że będzie pani ostrożna. Te stare domy łatwo płoną. – Wyciąga z kieszeni brelok z kluczami. – Na tym chyba skończymy wizytę.

– Mówiła pani, że na górze jest wieżyczka?

– Och, nie ma po co tam iść. Panuje tam teraz bałagan, wała się mnóstwo narzędzi i różnych gratów. I zdecydowanie proszę nie wychodzić na taras na dachu, dopóki cieśle nie wymienią podłogi. Nie jest tam bezpiecznie.

Nie wzięłam jeszcze kluczy, które chce mi wręczyć. Myślałam o pierwszym wrażeniu, jakie zrobił na mnie ten dom, o jego oknach wpatrujących się we mnie niczym martwe szklane oczy. Strażnica Brodiego nie obiecywała komfortu ani ukojenia i moją pierwszą reakcją była chęć ucieczki. Ale teraz, gdy weszłam do środka, wciągnęłam w płuca powietrze i dotknęłam drewna, wszystko wydaje się inne.

Ten dom mnie zaakceptował.

Biorę klucze.

– Gdyby miała pani jakieś pytania, jestem w biurze od środy do niedzieli, a w awaryjnych przypadkach zawsze może pani zadzwonić na komórkę – mówi Donna, gdy wychodzimy na zewnątrz. – Charlotte wywiesiła w kuchni listę

przydatnych numerów. Hydraulika, lekarza, elektryka.

– A gdzie odbiera się pocztę?

– Na początku podjazdu jest przydrożna skrzynka na listy. Albo może pani wynająć skrytkę na pocztę w miasteczku. Tak robiła Charlotte. – Przystaje obok mojego samochodu i wpatruje się w klatkę kota na tylnym siedzeniu. – Wow! Ma pani dużego kota.

– Załatwia się tylko do kuwety – zapewniam ją.

– Jest ogromny.

– Wiem. Muszę go odchudzić. – Gdy sięgam na tylne siedzenie, by wyciągnąć klatkę, Hannibal syczy na mnie przez kraty. – Nie jest zadowolony, że przez cały czas siedział zamknięty w aucie.

Donna przykuca, by mu się przyjrzeć.

– Ma dodatkowe palce? To majkun, prawda?

– W każdym gramie ze swoich trzynastu kilogramów!

– Jest dobrym łowcą?

– Kiedy tylko ma okazję.

Donna uśmiecha się do Hannibala.

– Więc będzie mu się tu bardzo podobało.

Rozdział drugi

Wnoszę klatkę do domu i zwalnięm w niej zamek. Hannibal wydostaje się na zewnątrz, spogląda na mnie i człapie do kuchni. Oczywiście to pierwsze pomieszczenie, do którego się udaje. Nawet w obcym domu wie dokładnie, gdzie dostanie kolację.

Muszę wrócić kilkanaście razy do samochodu, by zabrać walizkę, kartonowe pudła wypełnione książkami, pościelą i sprzętem kuchennym oraz dwie torby żywności, którą kupiłam w miasteczku Tucker Cove, by mieć zapas na pierwszych parę dni. Z mieszkania w Bostonie przywiozłam wszystko, czego potrzebuję przez najbliższe trzy miesiące. Powieści, które zbierały kurz na półkach, książki, które zawsze zamierałam przeczytać i w końcu mi się to uda. Słodziaki z bezcennymi ziołami i przyprawami, bo obawiałam się, że mogę ich nie znaleźć w małym spożywczym sklepiku w Maine. Zapakowałam nie tylko stroje kąpielowe i letnie sukienki, ale także swetry i puchową kurtkę, bo w tej części stanu Maine nawet w lecie trudno przewidzieć pogodę. Tak

przynajmniej słyszałam.

Gdy udaje mi się wnieść wszystko do domu, jest już dobrze po siódmej i czuję, że przemarzłam. Pragnę teraz jedynie napić się czegoś przy trzaskającym ogniu, rozpakowuję więc trzy butelki wina, które przywiozłam z Bostonu. Otwieram kuchenną szafkę, by znaleźć kieliszek, i odkrywam, że poprzednia lokatorka musiała mieć podobne zachcianki jak ja. Na półce, obok egzemplarza książki *Radość gotowania*, stoją dwie butelki szkockiej słodowej whisky – jedna z nich jest prawie pusta.

Odstawiam wino i wyciągam niemal opróżnioną butelkę whisky.

To moja pierwsza noc w tym wielkim starym domu, więc czemu nie? Jestem u siebie, miałam wyczerpujący dzień, a na taki wilgotny, zimny wieczór whisky jest idealna. Daję jeść Hannibalowi i wlewam odrobinę szkockiej do kryształowej szklanki, którą znajduję w szafce. Stojąc przy kuchennym blacie, delektuję się pierwszym łykiem i wzdycham z przyjemnością. Dopijając drinka, przeglądam od niechcienia *Radość gotowania*. Książka jest poplamiona i pochlapana tłuszczem – najwyraźniej była często używana i bardzo lubiana. Na stronie tytułowej jest dedykacja:

*Najlepsze życzenia w dniu urodzin, Charlotte! Teraz,
gdy jesteś samodzielna, ta książka będzie Ci potrzebna.
Uściski, Nana*

Zastanawiam się, czy Charlotte zdaje sobie sprawę, że

zostawiła tę książkę. Odwracając kartki, widzę wiele notatek, które zrobiła na marginesach przepisów. *Potrzeba więcej proszku curry... Zbyt pracochłonne... Harry'emu bardzo smakowało!* Wiem, jak ja bym się martwiła, gdyby gdzieś mi się zapodziała jedna z moich ulubionych książek kucharskich, zwłaszcza ta, którą dostałam od babci. Charlotte z pewnością zechce ją odzyskać. Będę musiała wspomnieć o tym Donnie.

Whisky spełnia swą magiczną funkcję. Moje policzki nabierają rumieńców, ramiona odprężają się i opada ze mnie napięcie. Jestem wreszcie w Maine, tylko w towarzystwie kota, samotna w domu nad morzem. Nie chcę myśleć o tym, co mnie tutaj sprowadziło, ani o tym, kogo i co pozostawiłam za sobą. Zajmę się tym, co nieodmiennie przynosi mi pociechę: gotowaniem. Dziś wieczorem zrobię risotto, bo jest proste i sycące, a przygotowanie go wymaga tylko dwóch garnków i cierpliwości. Popijam whisky, smażąc grzyby, szalotki i surowy ryż; mieszam go, aż ziarenka zaczynają skwierczeć. Dolewam białego wina do rondla i trochę do pustej już szklanki po whisky. Nie piję może trunków we właściwej kolejności, ale nie ma tu nikogo, kto by wyraził zdziwienie. Wlewam do garnka gorący rosół i mieszam. Popijam wino. I mieszam dalej. Kolejna chochła gorącego rosółu. I kolejny łyk wina. Nie przestaję mieszać. Może inni kucharze narzekają na monotonię przyrządzania risotta, ale ja uwielbiam to robić. Nie można niczego przyspieszać. Trzeba być cierpliwym.

Trzymam więc wartę przy kuchence, mieszając risotto

drewnianą łyżką, zadowolona, że mogę się skupić wyłącznie na tym, co wrze na palniku. Wrzucam do rondla świeży groszek, pietruszkę i tarty parmezan. Wszystko pachnie tak, że cieknie mi ślinka.

Gdy stawiam w końcu risotto na stole w jadalni, jest już noc. W Bostonie światła miasta zawsze zakłócają ciemność, ale tutaj nie widzę nic za oknami, ani przepływających statków, ani pulsującego światła latarni morskiej, tylko czarny jak smoła ocean. Zapalam świece, otwieram butelkę chianti i wlewam do kieliszka. Tym razem prawdziwego kieliszka na wino. Stół nakryty jest jak należy: świece, lniana serwetka i srebrne sztucce obok miski z posypanym pietruszką risottem.

Odzywa się moja komórka.

Zanim jeszcze spojrzę na ekran, już wiem, kto dzwoni. Oczywiście ona. Wyobrażam sobie Lucy w jej mieszkaniu przy Commonwealth Avenue, jak czeka z telefonem przy uchu, aż odbiorę. Widzę biurko, przy którym siedzi: z oprawioną w ramki ślubną fotografią, wypełnioną spinaczami porcelanową wazą i zegarem z palisandru, który dałam jej, gdy ukończyła studia medyczne. Telefon nie przestaje dzwonić, a ja siedzę z zaciśniętymi pięściami, czując narastające mdłości. Gdy w końcu komórka milknie, cisza przynosi błogosławioną ulgę.

Próbuję risotta. Choć przyrządzałam je już kilkanaście razy, smakuje jak klej do tapet, a pierwszy łyk chianti jest gorzki. Powinnam otworzyć butelkę prosecco, ale nie zdążyło się jeszcze schłodzić, a musujące wino musi mieć od-

powiednio niską temperaturę; najlepiej włożyć je do lodu.

Tak jak szampan, którego podawałam w ostatniego sylwestra.

Słyszę znów brzęk kostek lodu, jazzową muzykę ze stereo i rozmowy przyjaciół, krewnych i znajomych zebranych w moim mieszkaniu w Bostonie. Staralam się urządzić niezapomniane przyjęcie, wydałam fortunę na ostrygi z Damariscotty i całą ekskluzywną hiszpańską szynkę Ibérico de Bellota. Pamiętam, jak przyglądałam się moim rozbawionym gościom, odnotowując, z którymi z mężczyzn już spałam, i zastanawiając się, z kim pójdę być może do łóżka tej nocy. Był w końcu Nowy Rok i nie można go świętować samotnie.

Przestań, Avo. Nie myśl o tamtej nocy.

Nie mogę się jednak pohamować i rozdrapuję znów tę ranę, która zaczyna krwawić pod zerwanym strupem. Napełniam ponownie kieliszek winem i wracam do wspomnień. Śmiechy, chrzęst skorup ostryg, bąbelki szampana musujące przyjemnie na języku. Przypominam sobie, jak mój wydawca, Simon, wsuwa do ust lśniącego ostrygę. Jak Lucy, mająca tej nocy szpitalny dyżur pod telefonem, popija grzecznie tylko wodę mineralną.

Pamiętam też Nicka odkorkowującego zrećnie butelkę. Wyglądał wtedy tak beztrosko, z przekrzywionym krawatem i podwiniętymi do łokci rękawami. Gdy myślę o tamtej nocy, zawsze wspominam Nicka.

Świeca na stole wypala się. Spoglądam na butelkę chianti i stwierdzam ze zdziwieniem, że jest pusta.

Gdy podnoszę się z krzesła, dom kołysze się, jakbym stała na rozbujanym pokładzie statku. Nie otwierałam okien, ale zapach morza znów przenika do pokoju i nawet czuję sól na wargach. Mam halucynacje albo jestem bardziej wstawiona, niż sądziłam.

Czuję się zbyt zmęczona, by sprzątnąć naczynia, zostawiam więc ledwo napoczęte risotto na stole i wchodzę na schody, gasząc po drodze światło. Hannibal śmiga mi pod nogami i potykam się o niego, uderzając gołenią o podest na piętrze. Ten cholerny kot zna już dom lepiej niż ja. Gdy docieram do sypialni, leży na kołdrze. Nie mam siły go przetranszować. Gaszę lampę i rozciągam się na łóżku obok niego.

Zasypiam z zapachem morza w nozdrzach.



W nocy czuję, jak przesuwają się materace, i wyciągam rękę, szukając Hannibala, ale go tam nie ma. Otwieram oczy i przez chwilę nie pamiętam, gdzie jestem. Nagle sobie przypominam: w Tucker Cove. Dom kapitana. Pusta butelka chianti. Dlaczego sądziłam, że moja ucieczka cokolwiek zmieni? Dokądkolwiek zmierzasz, ciągniesz za sobą swoją niedolę jak gnijące ściervo, a ja przywlokłam moją na wybrzeże do tego samotnego domu w Maine.

Domu, w którym najwyraźniej nie jestem sama.

Leżę obudzona, nasłuchując odgłosu drapania małych łapek. Wygląda na to, że dziesiątki, może setki myszy używają ściany za moim łóżkiem jako autostrady. Hannibal też nie śpi, miauczy i krąży po pokoju, doprowadzony do szału ko-

cim instynktem zabójcy.

Zwlekam się z łóżka i otwieram drzwi sypialni, żeby go wypuścić, ale nie chce wyjść. Chodzi tam i z powrotem, miaucząc. Wystarczy mi hałasowanie myszy, więc jak mam spać, słysząc jeszcze jego biadolenie? Zdążyłam całkiem się obudzić, siadam na bujanym fotelu i patrzę w okno. Mgła podniosła się i niebo jest oszałamiająco przejrzyste. Morze rozciąga się po horyzont, a fale srebrzą się w blasku księżyca. Myślę o pełnej butelce whisky w kuchennej szafce i zastanawiam się, czy kolejny drink pomógłby mi przespać resztę nocy, ale teraz jest mi zbyt wygodnie w fotelu, żeby chciało mi się wstać. Widok srebrzystej tafli morza jest tak piękny. Czuję na policzku delikatną bryzę, muskającą mi skórę jak chłodny pocałunek, i wdycham znów ten zapach: zapach morza.

Nagle w domu zapada cisza. Nawet myszy w ścianach nieruchomieją, jakby coś je wystraszyło. Hannibal wydaje głośny syk, a ja dostaję na rękach gęsiej skórki.

Ktoś jest w tym pokoju.

Z bijącym sercem staję na nogi. Fotel buja się w przód i w tył, gdy cofam się w kierunku łóżka, lustrując ciemność. Widzę tylko kontury mebli i błyszczące ślepie Hannibala, w których odbija się światło księżyca, gdy wpatruje się w coś w narożniku. Coś, czego ja nie dostrzegam. Wydaje dziki wrzask i znika w ciemnościach.

Stoję i nasłuchuję, nie wiem jak długo. Światło księżyca wpada przez okno i rozlewa się po podłodze, lecz w jego srebrzystej poświacie nic się nie porusza. Fotel przestał się

bując. Zapach morza zniknął.

W pokoju nie ma nikogo oprócz mnie i mojego tchórzliwego kota.

Kładę się ponownie i przykrywam po szyję, ale nawet pod kołdrą drzę z zimna. Dopiero gdy Hannibal wyłania się w końcu spod łóżka i rozciąga obok mnie, przestaję się trząść. Kiedy przywiera do ciebie mruczący ciepły kot, świat nagle odzyskuje równowagę. Z westchnieniem wsuwam palce w jego sierść.

Myszy znów zaczynają biegać wewnątrz ściany.

– Jutro – mruczę – musimy wynająć inny dom.